

Dobre siedemset tysięcy razy obiecywałem nie spisywać snów, nie wychodzić przed samym sobą na łamislowiącego śniarza, śniaka, w zasadzie: antypisarza, który jedyne, co potrafi, to być skrybą własnych śnisk, spisywaczem majaczydeł; któremu wyobraźni, talentu, ba — rozumu nie starcza nic innego, niż przeklepywanie z głowy, przez klawiaturę, do komputera, treści zwidzianych, widmowych widmisk; którego (metaforyczne) ręczyny i nożyny są zbyt krótkie, by mógł za ich pomocą wydostać się, wygramolić z własnego, oczadzonego snem łba.

I, jak widać, znów łamię dane sobie mikroprzrzeczenie, przrzeczeniuchno takie małuskie, lichutkie. Bo muszę, ostatni, kurde, raz, ale sorry — muszę.

Jak tylko skończę sprawdzać, czy w tym, co nakławiaturzyłem nie ma literówek — wrzucam zaraz do netu, mówiąc szumnie: publikuję niniejszy tekst, dzielę się nim z ludźmi. Czytelnikami. Choć, jak logika i resztki rozumidła podpowiadają — tenże, dopiero powstający pierd, wyrzyg, absolutnie na to nie zasługuje. Psu można takie coś czytać, kotom — i to głuchym, więcej: zwierzętom, które nie posiadają zdolności słyszenia, są... yyy... auszne, hje, hje.

Jest wczesna pora, dopiero po ósmej, siedzę z kawą, chichram się, neologizmuję, piszę.

Budyń został zjedzony. Niedużo, ale przynajmniej dwa napełnienia mordy były. Amciu, amciu, dwa razy miałem gębulę pełną aromatycznego, waniliowego budyniu. Z waginy. Wygrzebałem go i nasyciłem się, polecthałem kubki smakowe. Przełknąłem.

Ale od początku.

Ulewa była straszna w moim miasteczku, co zdało się być nie moim miasteczkiem, bo jestem, i od zawsze byłem mieszkańcem wsi. Leje, leje jak z cebra, a jak chodzę po tym moim-cudzym, gdzie są dosłownie dwie ulice na krzyż (a i tak się gubię w jego meandrach), miasteczku, którego ni w ząb nie znam, i szukam spożywcza.

Jest, wparowuję, tyleż rozgorączkowany, zdenerwowany, co ociekający wodą i dygoczący z zimna, bo była, kurde, późna jesień i to, co mnie zlało nie było ciepłe.

Trzęsę się, bo mam w ubraniu wodę, zimną, zimną wooooooode! I potrzebuję budyniu. Tak, tu i teraz, już, "I want it all and I want it now" — jak śpiewał Freddie Mercury. Budyń ma być, jak najwięcej go, czekoladowy, tylko taki mnie interesuje, dawać, dawać mi tu jak najszybciej całe siaty, kartony, palety, budyniu czekoladowego, co bym mógł przytaszczyć go do domu, zrobić, jak przepis nakazał, grzecznie, kornie, z cukrem i na mleku, nie na wodzie, nie na coli, czy płynie do szyb, budyń, kuźwa, budyń ma być, czekoladowy, po przyrządzeniu — o konsystencji i kolorze półwodnistej kupy, rzadziutki i przesłodzony, bo zawsze przesładzam budyń, kisiel zresztą też, ale czort tam z kisielom, budyń, budyń ma być, obowiązkowo, koniecznie, czekoladowy — i tylko taki!

...le, chyba nie będzie — patrzę zrezygnowany, rozglądam się po lichosklepiku i widzę, że bardziej przypomina on... NIE! on JEST salą lekcyjną, klasą szkolną w zbudowanej na kanwie kantorowskiej, odumarłej klasie, trupoklasie.

Kilka rzędów ławek, na których stoją niewysokie półeczki z towarem. Siedzący przy ławkach-nie ławkach, sztywno, martwo, trupio, o ile trupy mogą siedzieć tak wyprostowane, denatouczeniowie są absolutnie statyczni. Bardziej, niż nieruchomi. Stanowią jedynie element tła, dekoracji, de facto nie ma ich.

Uuu — bidnie tu — widzę, towaru tyle, co kot napłakał. Ale pytam, bo i co mi szkodzi, jak już wlażłem, nakapałem z ciuchów, nadygotałem się z zimna, jak już jestem — to pytam, czy jest mój wymarzony budyń nad budynie. Koniecznie — czekoladowy.

Dwie młode sprzedawczynie-chichotki zanoszą się śmiechem na mój widok. Recholą najbezczelniej, jak się da, ZE MNIE, chłoporobotnika, człeka pracy, drwią, szydzą, szpecą jedna drugiej na ucho, że patrz, co przylazło, że w gumofilcach on, w gumofilcach.

...fakt — orientuję się — mam na nogach właśnie gumofilce. I co z tego? Pewnie pracuję ciężko i ponad siły, w rolnictwie, albo w wodociągach, jestem pracownikiem MPO, w kanałach tyram, jak, kurde, Tadzio Norek z Miodowych lat, szacunku, kuźwa, więcej, sza-cun-ku! Gdyby nie tacy jak ja, robociarze, co wypruwają sobie żyły, flaki, dzień w dzień po osiem albo i więcej godzin tyłając się, taplając w waszych wydalinach, udrażniając gołymi rękami, przepychając pozatykane alwaysami, pampersami rury, potonęłybyście w szlamie... po same... same... uszy...

Krzyczę. Chyba.

— Czekoladowego, hi hi, ha ha, nie ma. Jest waniliowy — odśmiewa się szatynka.

— Waniliowego to se w psiochę nasyp! — rzucam gniewnie, na co lalunia zmienia ton, naburmusza się momentalnie i rozszczekuje, że grzeczniej, że co ja se myślę.

Co?! A zaraz pokażę, co myślę! — stawiam nabzdyczkę, leciutką, jak szmaciana lalka, na ławce-ladzie, biorę jeden z paskudnych-bo-waniliowych budynisk, rozdzieram woreczek i wsypuję jego zawartość panience pod bluzkę.

W realnym świecie majtki — na ogół — nie są opiętymi i trzymającymi się jedynie na udach, dynadającymi workami, posiadają coś takiego jak gumkę. Te śniane, dziewczyńskie — nie; mam aparat telepatorentgenowski w oczach, bo widzę, jak zsuwa się, biało-żółtawy proszek, po plecach panieny, po jej pośladkach, jak wpada w majty. I tam zostaje.

— Chciałeś, żebym se wsypała? — sprzedawczyniula podnosi spódniczkę, i... Jeny! Widzę, jak wgarnia budynioproszeczek. W głąb. W siebie.

...i mamy teraz szczeniacką, perwersyjną zabawę. W szokowanie. W pokazywanie jedno przed drugim, kto jest bardziej odważny, obleśny. Z kogo większy hardkor.

Nie namyślając się wiele, wkładam paluchy, wyciągam lekko rozmiękłą treść, pakuję sobie do ust. Jedna, druga garść słonawej pulpy. Nawet smacznej.

— ...a teraz se zwalę — kładę się na podłodze mikrosklepidelka, w jednej ręce trzymam resztki zwilgotniałego budyńcia, drugą... drugą...

I ciul tam, że przy ludziach, że w miejscu publicznym. Oto dostałem, czy raczej sam se wziąłem, piękny prezent. Intymniusi.

Smaczny, smaczny budyńiek, doprawiony przez młodą prymitywkę, którą rozbawiły robocze buty na nogach klienta i która z tego tylko powodu postanowiła się powywyższać, poakcentować swoją — w jej mniemaniu — wielkość sklepową, ekspediencką, nadrobotniczą, swą pańską, czystą, nie gnojową pozycję.

Wącham. I jara mnie to, co jarać nie powinno. Ale przecież sam cholerny budyń jest tylko, jak płyta CD, czy kaseta wideo, nośnikiem tego, co najistotniejsze, co stanowi esencję, clue. Tego, co najlepsze (w tym wypadku — feromonów).

Jak nikt nie kupuje książki, by ekscytować się tym, że jest to "siakieś takie coś fajnieśne, z kartkami, w ogóle — całe z papieru, miłe nawet w dotyku, takie nie wiadomo co w okładkach", jak — chyba — nikogo nie zajmuje sam fakt, że kupiona płyta jest srebrnym krążkiem, płytą właśnie, a nie dajmy na to kablem od drukarki, albo metalowym cyrkiem; jak nikogo przynajmniej nie powinny bardziej od zawartych treści jarać kształt, kolor, faktura nośników tychże treści, tak mnie nie kręci nieszczęsny budyń, lecz to, czym jest — dosłownie — przesiąknięty.

Budyń. Mokry. Uwaga: zawiera lokowanie produktu. Jajeczko. Materiał genetyczny głupekowanej panieny, która chyba ma dni płodne.

Setki, jeśli nie miliony jajeczek, z których mogą się wylęgnąć głupie i wyniosłe sklepóweczki, dziewczyniny bez cienia empatii, traktujące klientów z góry. Albo faceci, równie nieludscy. Jegomościowie tasiemcowie, soliterowie, krętkowie bladzi.

I budzę się. Nic a nic nie podniecony. Apolucyjny. Zwiotczały.

Zażenowany tym snem.

I wiem, co dziś kupię, zrobię do zjedzenia. Co ugotuję na mleku.

Czekoladowy.

Puenta, meritum, sedno jakieś w ogóle? Momencik, niech pomyślę...

Jestem ogolonym na łyso, trzydziestoparoletnim dzieckiem. Mam tatuaże, maszyny do pisania, zdarza mi się wpaść w gniew z absurdalnie błahych powodów.

Codziennie, z wrodzonym masochizmem, uprawiam poetykę chaosu: nie zgadzam się na zasnuwającą się zieloną rzęsą, zastaną wodę w rowach, buntuję przeciw deszczowi, chmurom, przeciw zastanemu wnętrzu, zewnątrz. I jednocześnie nie robię nic, mam w żyłach krew zastoinową, pod dekle — zastoinowe, zwisłe, przyflaczały myśli.

Krzyczę w milczeniu, tworzę oksymorony, zapisuję je atramentem sympatycznym, łamię chwilowo odwieczne prawa.

Rozdynam się, brzęknę od chciejstw, niespełnialnych marzuchów.

Tak, oszalałem.

Oszaleję.

Nie, nie oszalałem.

Niepotrzebne — skreślić.

Od niepamiętnych czasów nie jadłem budyniu, zwłaszcza czekoladowego.

I ma ochotę, pan Florcio Tyledziar.

Pies sąsiadów podrapał mi drzwi wejściowe, więc poszedłem z majchrem w kieszeni. Wymierzać sprawiedliwość. Rysować drzwi. Na szczęście w porę przeszło, wkurzenie patusiarskie.

Jestem żałosny i zły. Chcę budyniu.

16.09.2021.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 16.09.2021 21:40

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.